

Legjonista.

Uroczyste dźwięki organów zalały cicha ulicę, gdy rozwarło na oścież spiżem wykładaną bramę kościoła św. Trójcy.

W tłumie ciekawych, którzy jak żywy mur zgromadzili się po obu stronach wyłożonych dywanem schodów, rozległ się szept, zaczęto się cofać i przed naprzód — w drzwiach stanęli goście weselni. Dzwony zabrzmiały, łącząc swe donośne tony z radosnymi dźwiękami organów w jedną potęgę na symfonie.

Państwo młodzi ukazali się.

Kareta ślubna podjechała.

Marja schodziła wolno ze schodów u boku swego męża. Sto spojrzeń wnet utkwiło w postaci pięknej panny młodej, tu i owdzie dał się słyszeć szmer zachwytu. Kobiety cisnęły się.

Tylko co postawiwszy nogę na stopniu karety Marja nagle odwróciła głowę. Dlaczego? Nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Coś ją skłoniło. Tam w głębi dwoje oczu wpatrywało się w jej postać — dwoje ciemnych, płomiennych oczu, które znała dobrze.

Nie — to nie on. Nie może być! Jego kości dawno już bieleją na pustyni. Przed ręką samą czytała doniesienie o jego śmierci. A jednak... te oczy... I uprzytomniła sobie godzinę — tę ostatnią — kiedy na nią patrzył — tak samo... temi samymi oczami, które tylko co miała przed sobą.

Kochała go.

Kiedy poraz pierwszy przed dwoma laty poznała na placu tenisowym młodego inżyniera Rolfa Eppinghofena, który ją potem odprowadził do domu, miała wrażenie że się przed nią otwierała wysoka żelazna brama przez którą wyrzała na śmiejącą się w promieniach słońca krajinę.

Słuchając jego ożywionej mowy miała przed oczami piękno świata, które on oglądał.

Pewnego dnia ojciec wezwał ją do swego gabinetu. Przed nim leżała podłużna ćwiartka papieru, na którą patrzył ponurym wzrokiem.

— Przeczytaj to — powiedział do niej, podając jej papier.

Z dziwnie trwożnym uczuciem wzięła papier do ręki. Wexsel na 10,000 marek.

— Przeczytaj podpis.

Przeczytała nazwisko swego ojca.

Ciężkim krokiem podeszedłszy do kasy, wyjął jeszcze dwa formularze.

— Spójrz na podpisy.

Wahając się rzuciła okiem na oba akcepty. I te wexsle opiewały na wysokie su my i podpisane były nazwiskiem jej ojca.

— Razem 34,000 marek — mówił ojciec głucho, — te trzy wexsle w przeciagu czterech tygodni musiałem wykupić, gdyż zostały wystawione na moje imię. Czy wiesz kto mnie podpisał?

— Nie — odparła bezdźwięcznym głosem.

— Twój narzeczony.

Cofnęła się z przerażeniem.

— To jest fałszerz, — ciągnął ojciec dalej, — podły, nikczemny fałszerz, który się wkradł do naszej rodziny, ażeby w ten sposób zdobyć więcej środków dla swego występłego życia. Oparła się bezwładnie o ścianę.

Marja spotkała się nazajutrz z Rolfem w małej cichej cukierni. Tam pogrzebała do reszty swój dziewiczy, promienny sen złoty. Zdjął maskę i ukazał swe prawdziwe oblicze. Rysy egoisty bez serca, polującego jedynie na jej posag. Zaśmiał się szyderczym szatańskim śmiechem, który skaził jego piękne oblicze do niepoznania i mówił:

— Ośmielcie się mnie wysiedlić! Jeśli się nie boicie skandalu!... Jesteście skompromitowani... Róbcie, jak uważacie!...

Zerwała się i wybiegła nieprzytomna na ulicę.

Dnia następnego Rolf Eppinghofen znikł jak kamfora, jak kamień w wodzie.

W rok potem ojciec przyniósł jej z biura gazetę z następującą wzmianką:

— Dziecko naszego miasta, inżynier Rolf Eppinghofen, który przed dwoma laty zaciągnął się do legji cudzoziemskiej, zginął w walce z Beduinami.

Kilka dni chodziła z zapłakanymi oczami. Ale życie upomniało się o swe prawa.

Teraz była żoną innego.

Nie kochała go gwałtowną miłością. Skromny towarzysz u jej boku nie spodziewał się nawet od niej silnego uczucia, wiedząc o jej tragicznym przeżyciu. Ale miała od pierwszej chwili nieograniczone zaufanie do tego niemłodego już człowieka, oczekiwała ją pogodna i wygodna przyszłość. Czuli się bezpieczną pod jego skrzydłem i sądziła, że z dniem ślubu przeszłość zgaśnie, zgi nie, jak gdyby nie istniała.

Nagle wyprostowała się.

Jakiś głos z oddali zawołał: — Jestem, kochanie!

W tej samej chwili kareta stanęła.

Podczas, gdy goście uctowali jeszcze i pili zdrowie młodej pary, nowożeńcy autem zdążyli na dworzec kolejowy.

— Nürnberg!

Była to pierwsza jej stacja w drodze do Włoch.

Auto minawszy starą bramę wjazdową, skręciło we współczesną ulicę Królewska. Zaraz na prawo w morzu światła tonał hotel. Zarządzający przyjął podróżnych i zaprowadził do zamówionych zawczasu pokoi.

Tej nocy Marja miała dziwny sen. Szła ulicami Algieru. Południowe słońce olśniewając światłem zalewało ulicę, nad białymi domami unosiło się pałace powietrze pustyni. Chodziła i chodziła po długiej w nie skończoność ulicy ciągle pod ognistym baldachimem południowego nieba. Wreszcie do my znikły — znalazła się nagle na pustyni.

Usłyszała za sobą tupot wielu nóg ludzkich. Obejrzała się. Oddział legionistów marszerował szybkim krokiem. Blade chore oblicza zwrócone były w przestrzeń, w półotwarte febryczne oczy tkwiły w bezkresnej dali.

Oddział zamykał chudy legionista, zdą-

żający naprzód zmęczonym krokiem. Kiedy ją miał, odwrócił głowę.

Spojrzała mu w twarz i cofnęła się z okrzykiem. To był Rolf Eppinghofen. Wpatrywał się w nią, jak gdyby nawskroś przynikał.

— Rolf! — krzyknęła i w tejże chwili obudziła się na dźwięk swego głosu.

Złote słońce śmiało się w pokoju, a za oknem ćwierkały kosy.

Tkliwy głos zapytał:

— Nie śpisz, Marjo?

— Nie — odparła drżącym głosem i jęła się szybko ubierać.

— A teraz będziemy jedli śniadanie — mówił mąż z pogodnym uśmiechem; — chodź, pojedziemy na dół do kawiarni.

Podeszli do windy. Nacisnął guzik. Usłyszeli brzęk maszyneryj i winda wolno szła w górę. Krótkie stuknięcie i winda za zatrzymała się. Obie połowy drzwi otworzyły się i windziarz odkrył głowę, uprzejmie zapraszając do wnętrza.

Wtem przeraźliwy krzyk rozległ się w całym domu. To Marja, krzyknawszy na cały głos, jak oszołomiona zatoczyła się ze wzrokiem, utkwionym w twarzy windziarza

Przed nią, w brązowym, dziwnie szamerowanym mundurze, z ciemnymi, błyszczącymi, ponuro wpatrzonemi w nią nieruchomo oczami, stał Rolf Eppinghofen, jak żywe wcielenie jej dzisiejszej mary senniej.

Mąż pochwycił mdlejącą w ramiona i patrząc trwożnie w jej przybladłe lice pytał z niepokojem:

— Co ci jest, Marjo? Co ci jest, najdroższa?

Uniosła powoli głowę i wzrok jej padł znowu na windziarza.

Ale w tejże chwili stała się rzecz niesłychana i straszna. Maszyneryja windy drgnęła, zatrzeszczała z łoskotem pękająca stal, winda znikła i zapadła się w głębię. Przeważliwy łoskot strasznego zderzenia, o krzyk, trzask stali i drzewa, brzęk szkła — a potem śmiertelna cisza.

Wśląd zatem setki dzwonek elektrycznych rozległy się w całym domu, pośpieszne kroki ludzi, biegnących po schodach i korytarzach, wołanie o pomoc, zapytania.

Dyrektor szybkim krokiem zdążył na dół — Co się stało? — zapytał mąż Marji, za trzymując biegnącego.

— Windziarz! — odparł niecierpliwie przerywanym głosem — lina pękła, windziarz zabity!

Marja wyprostowała się i wpatrując się weń oczyma nie z tego świata, pytała głosem drżącym:

— Nie wie pan... jak... jak.. nazwisko... windziarza?

Dyrektor spojrzał na nią zdumionym wzrokiem: Na co jej ta wiadomość? Osobliwie pytanie! — pomyślał — widocznie przez strach wytrącił damę z równowagi.

— Owszem — odparł uprzejmie — jakkolwiek dziś rano dopiero zaangażowałem go, dziwnym trafem zapamiętałem nazwisko: niejaki Eppinghofen.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK DO KURJERA ŁÓDZKIEGO.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 5 września 1926 roku.

Nr. 36.

Czar podmiejskich letnisk.



Fragment stawu w parku Stefańskiego w Rudzie Pabjanickiej pod Łodzią.

Teatralja.

CO SLYCHAĆ W WARSZAWIE? — TEATRY POMORSKIE. — MIASTO HAMLETA.

Nadchodzi jesień, a z nią — nowy okres życia teatralnego. Teatry warszawskie roz poczynają już w tych dniach sezon r. 1926/27. Na czele kroczy Teatr Narodowy, inaugurując nieśmiertelnymi „Ślubami Panięńskimi“ w doborowej obsadzie, wśród której widnieją nazwiska pp. Gromnickiej, Majdrowiczówny, Pichor-Śliwickiej, Brydzińskiego, Frenkla, Leszczyńskiego i Rapackiego. Jednocześnie odbywają się próby „Snu srebrnego Salomei“, który wzbogaci repertuar żelazny pierwszej sceny warszawskiej. Ze względu na reorganizację personelu dyrekcyjnego Teatru Narodowego — należy się spodziewać, że teatr ten postara się wkrótce o to, aby górna jego nazwa nie była li tylko pustym dźwiękiem. Po przykrych doświadczeniach i zawodach poprzedniego sezonu publiczność warszawska ma prawo oczekiwać od Teatru Narodowego — artystycznej rehabilitacji, która pozwoliłaby zapomnieć o błędach i niedostatkach przeszłości.

Gorzej natomiast przedstawia się sprawa z Teatrem im. Bogusławskiego, którego los — w chwili, gdy te słowa piszemy — wciąż pozostaje pod znakiem zapytania. Jak się dowiadujemy, p. Adwentowicz, jeden z reflektantów na objęcie tego teatru w sezonie 1926/27 złożył Magistratowi m. Warszawy propozycje nader dla miasta korzystne. P. Adwentowicz bowiem, wspólnie z p. Hulewiczem, chcąc ratować Teatr im. Bogusławskiego od grożącej mu zagłady, gotów jest prowadzić go nawet bez żadnych subsydjów pieniężnych Magistratu, kontentując się jedynie drobnymi świadczeniami rzeczowymi. Ale podobno i nad tą ofertą ojcowie miasta kiwają głowami, zamyślając jakby oddać gmach teatru Wydziałowi oświaty i kultury Magistratu, — w jakim celu — to pozostaje dotychczas okryte nieprzeniknącą tajemnicą. Z zadowoleniem stwierdzić trzeba, że zarówno prasa jak koła artystyczne stolicy czuwają pilnie nad tą sprawą — i dlatego, być może, do zaprzeczenia pierwszorzędnej placówki teatralnej nie dojdzie.

W ostatnich dniach z premierą wystąpił Teatr Mały, wystawiając trzyaktową komedię francuską Deval'a, p. t. „Simona“. Jest to sobie, nieodbiegający daleko od innych, zwykły plód bulwarowo-paryskiej m. zy. zamknięty w obrębie zawsze tych samych psychologicznych szablonów i erotycznych konwenansów. Walka dwóch mężczyzn o serce Simony; Andrzej ją kocha, Fony ją posiada. Ale Fony jest tylko panem zmysłów nie serca Simony która też pragnie wydobyć się z pod tego władztwa. Zakochany Andrzej, biorąc na się rolę fikcyjnego kochanka Simony, nie szczędzi intryg i wysiłków, znosi wszelkie ciosy i upokorzenia, aby tylko uwolnić Simo-

nę od brutalnych miłości Fony'ego. Udaje się to wkońcu, Andrzej krok za krokiem zdobywa sobie spokojne dotąd jeszcze serce Simony — no i wszystko się jak najlepiej według zwykłej komedijowej recepty, kończy. Ani to zbyt dowcipne, ani ciekawe. Raczej trochę pretensjonalne i przesadzone. Dzięki reżyserskiej pracy p. Stanisławskiego jedynie oraz ze względu na bardzo dobrą grę p. M. Kamińskiej, sztuczka p. Deval'a nabrała conieco życia i stała się możliwą do przelknięcia. Dwie główne role męskie odtworzyli starannie p. Łuszczewski (Andrzej) i Staszewski (Fony).

Zakrojona w roku ubiegłym na szeroka skalę impreza teatralna pomorska dyr. K. Bendi została — jak wiadomo przed upływem sezonu w zupełności rozbita na skutek katastrofy finansowej. Wobec tych niepowodzeń, wynikających zarówno z niedomagań kierownictwa teatralnego, jakoteż z braku obojętnego ustosunkowania się do teatru publiczności pomorskiej, — na sezon przyszły pomysły centralizacji teatrów zostały przez miasta pomorskie zaniechane, istnieć będą natomiast zupełnie odrębne i niezależne zespoły teatralne w Bydgoszczy, Toruniu i Grudziądzu. Losy teatrów w Bydgoszczy i Grudziądzu są już definitywnie rozstrzygnięte: pierwszy obejmują dyr. L. Dybizański, otwierając sezon 11 b. m. „Liljami“ Morstina; — drugi — powierzony został dyr. H. Czarneckiemu, b. kierownikowi Teatru Polskiego w Sosnowcu, który prowadzić będzie dramat i operetkę. Obu zespołom życzymy na progu nowego sezonu zachęty i wszechstronnych sukcesów. Nietylko jednak talenty dyrektorskie, lecz i spotęgowanie po-

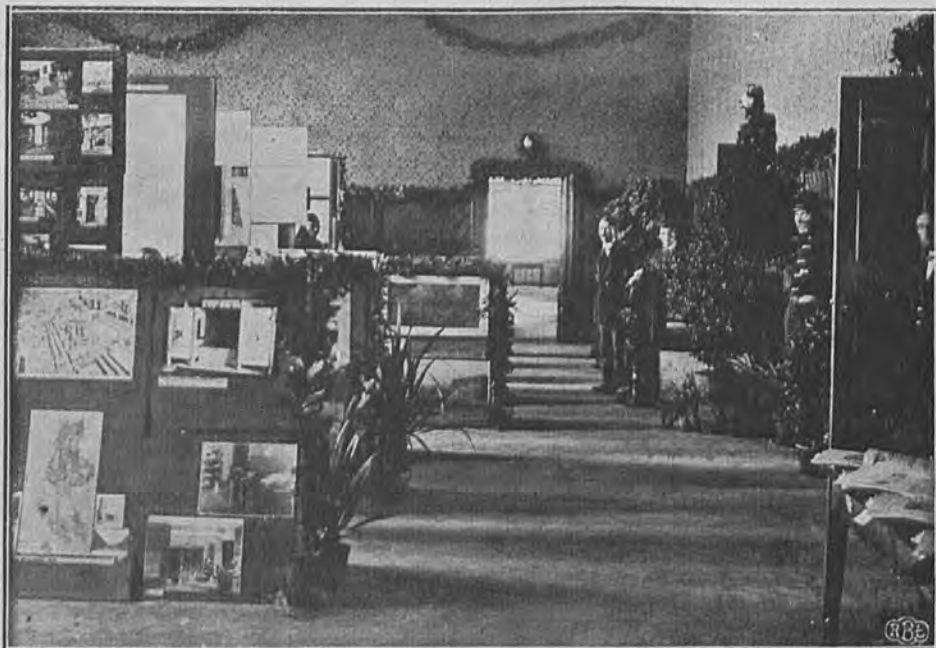
trzeb artystycznych publiczności miejscowej — grać tu będzie — powtarzamy — decydującą rolę. Teatr, rzecz prosta, może istnieć o tyle, o ile bywa w nim — i to w dostatecznej liczbie — publiczność. W przeciwnym razie — lepiej się nie łudzić, a, otrząsnawszy proch ze stóp swoich, umykać gdzie pieprz rośnie...

Nie wszystkim zapewne wiadomo, że akcja szekspirowskiego „Hamleta“, na skandynawskich kronikach oparta, jest w gruncie rzeczy całkiem realistycznie zlokalizowana; rozgrywa się na starożytnym zamku duńskiego miasteczka Helsingör. Miasteczko to, malowniczo na wyspie Zealandji położone, obchodzi właśnie obecnie 500-letni jubileusz swego istnienia. Zbudowana w Helsingör twierdza morska i fort, na cześć rycerskiego królewicza, Hamlet zwany — strzegły przez paręset lat przejazdu przez cieśninę Sundską. Od okrętów, przepływających przez nią, król duński pobierał w swoim czasie daninę, której wysokość zależała od wielkości okrętu i wartości jego ładunku. Podanie głosi, że na jednym z okrętów przepływał ongiś cieśninę Sundu Shakespeare; podczas postoju statku opowiedziano mu legendę o Hamlecie, która, po odpowiedniej modyfikacji artystycznej, stała się osnową arcydzieła. Dzisiaj Helsingör jest liczącym ok. 20.000 ludzi miastem portowym posiadającym piękny gotycki ratusz, warsztaty okrętowe oraz wspomniany już starożytny zamek Kronborg. W tym właśnie zamku urządzono główną część uroczystości jubileuszowych. M. in. zainscenizowano szereg dzieł szekspirowskich według wzorów i pamiątek z epoki genialnego twórcy.

Delta.

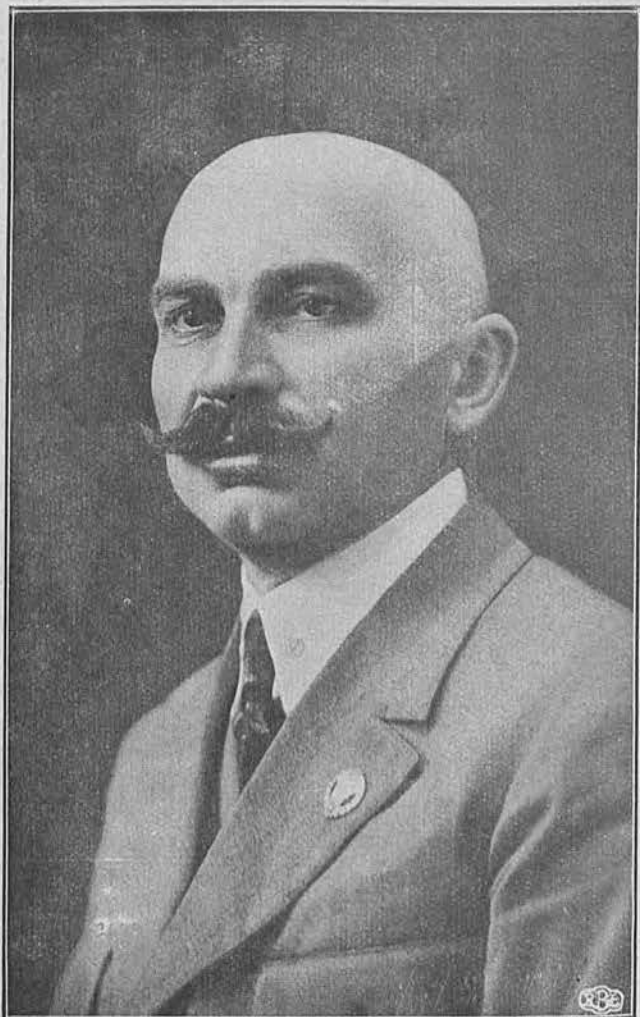


Z wystawy „Mieszkanie i Miasto” w Łodzi.



Fragment jednej z sal wystawy „Mieszkanie i Miasto” zorganizowanej przez samorząd naszego miasta.

Jesienna wystawa kwiatów w Miejskiej Galerji Sztuki.



P. Kaczorowski prezes Związku Ogrodników wykazał wiele starania i znajomości fachowej przy organizowaniu otwartej w ubiegłą sobotę wystawy kwiatowej.



I marmur ożyje, gdy ręka artysty go dotknie i kwieciami przystroi.



Piękny rezultat pracy ogrodniczej.

Z teatru Miejskiego.



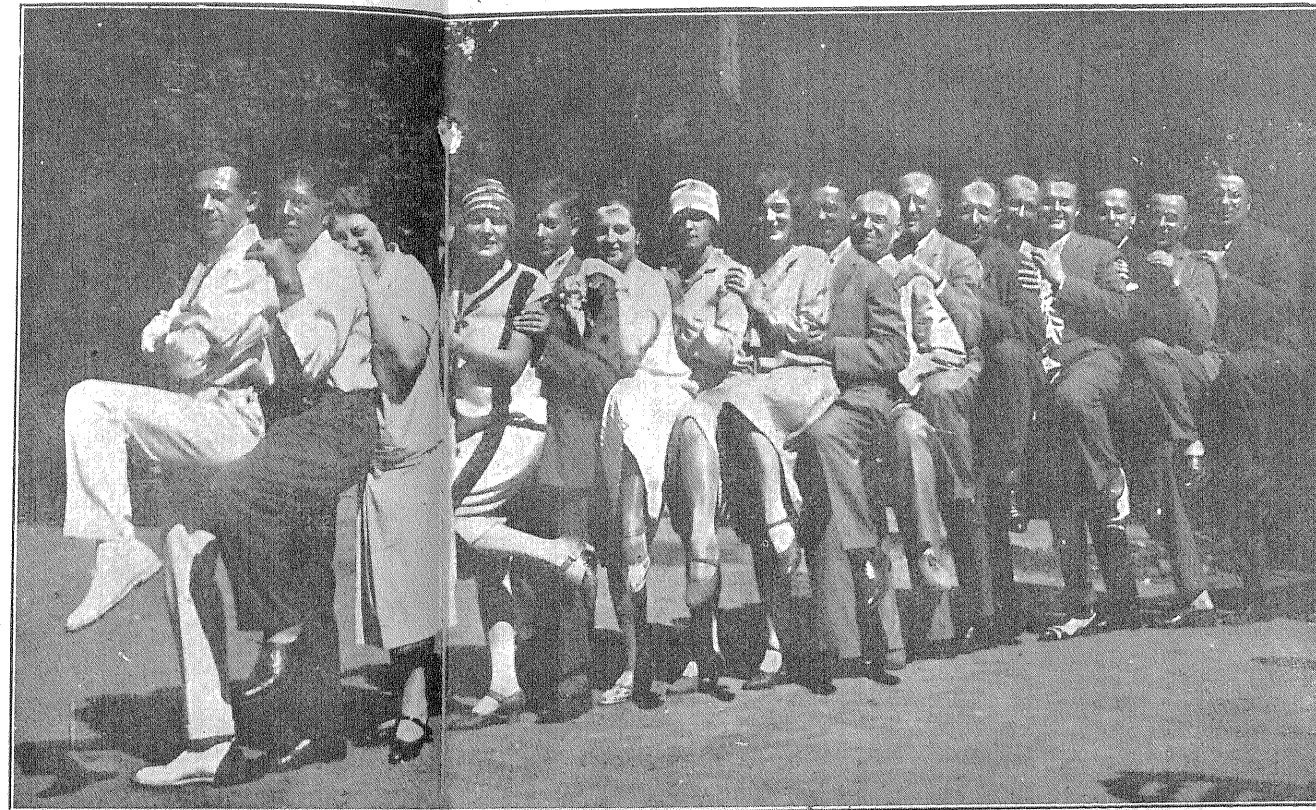
Zygmunt Wilczkowski, utalentowany artysta teatru łódzkiego pozostaje nadal na naszej scenie.



S. Janowski, zaangażowany na rozpoczęty sezon do Teatru Miejskiego w Łodzi



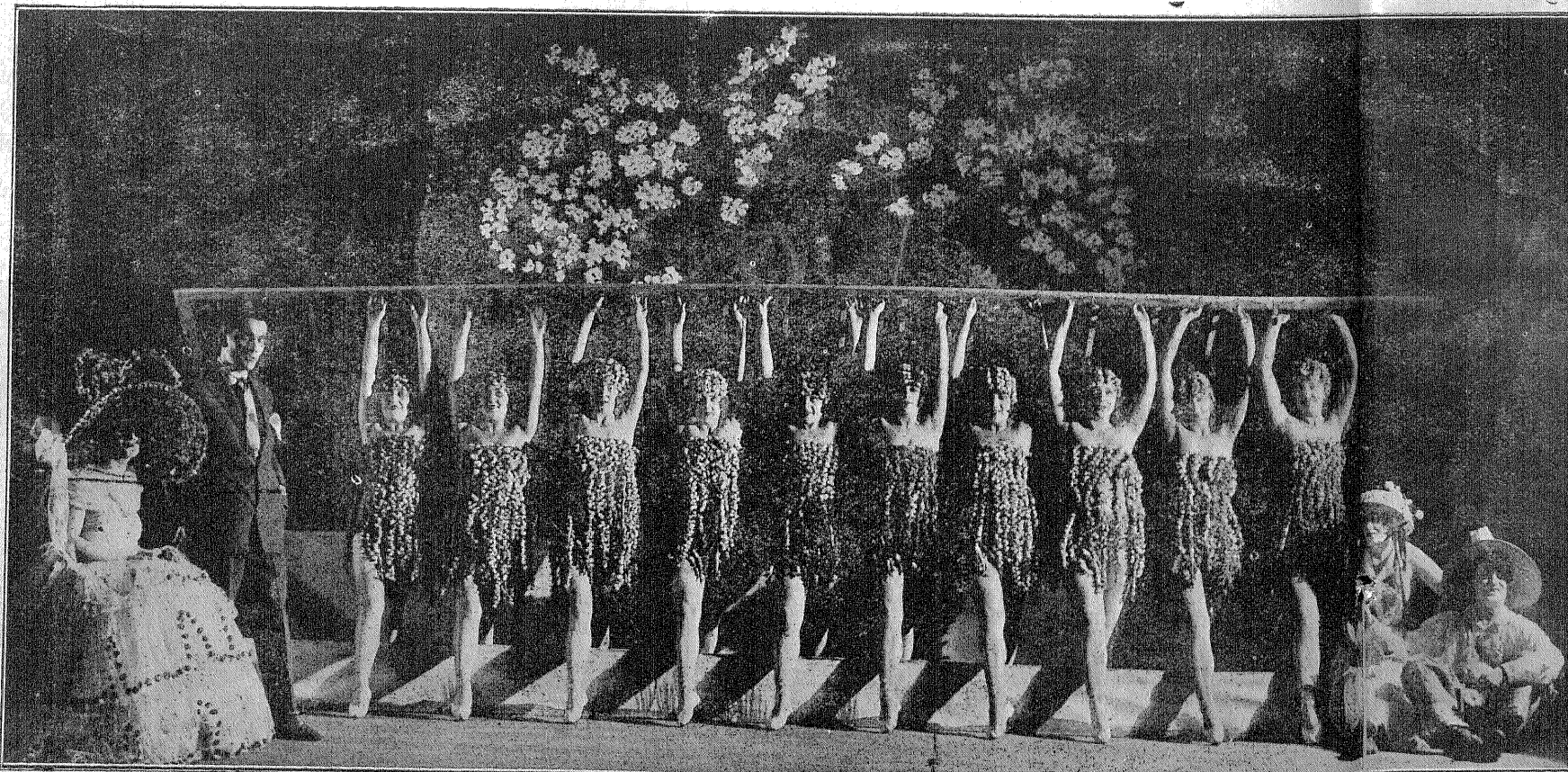
Scena z pysznej farsy p. t. „Stizelec od Maksyma”, wystawianej z dużym powodzeniem przez Teatr Letni.



Ci, co bawią w Warszawie. Najmilszym zwątpienia z zespołów teatralnych jest zespół artystów Teatru Letniego. Cechuje go wesołość, mająca charakter zaraźliwy. Zdjęcie jakże tu podajemy przekonywa nas, iż wesołość ta nie rodzi się tylko na deskach scenicznych, lecz nie opuszcza artystów tego teatru nawet wtedy, gdy odpoczywają po truchach w eienistych alejach Saskiego Ogrodu.



P. Baliszewska, wysoce utalentowana prima-donna opery w Katowicach



Najnowszy sztafiet oryginalnego baletu Perskiej Oka „Koszuński - girls”, który ostatnio gościł w Łodzi na scenie „Casino”.



P. B. Kościeszanka i p. Pawłowski w „Dobrze skrojonym fraku” na deskach Teatru Letniego.

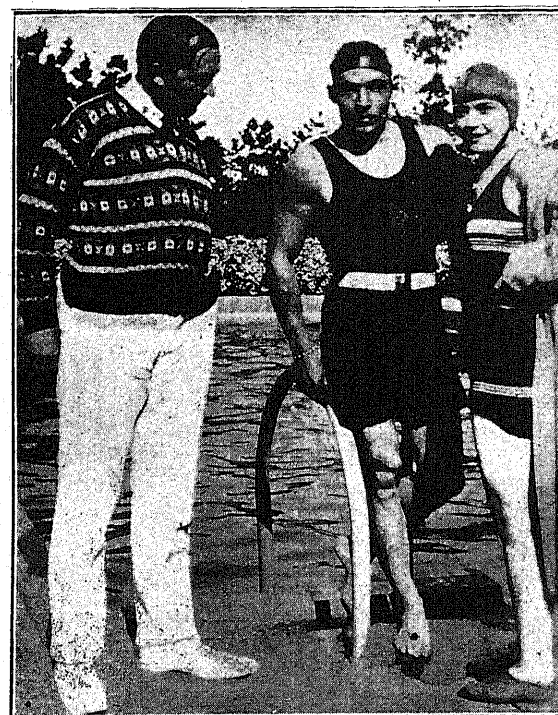


Zespół oryginalnego baletu rosyjskiego, budzącego swymi produkcjami niebywały wprost entuzjizm tęgmatycznej publiczności stolicy Wielkiej Brytanji



Zjazd Związku Akademików Województwa Nowogródzkiego i Ziemi Mińskiej odbył się ostatnio w Nowogródku. Zdjęcie nasze przedstawia uczestników Zjazdu z gen. Januszajtisem pośrodku.

Ze sportu.



Na lewo.

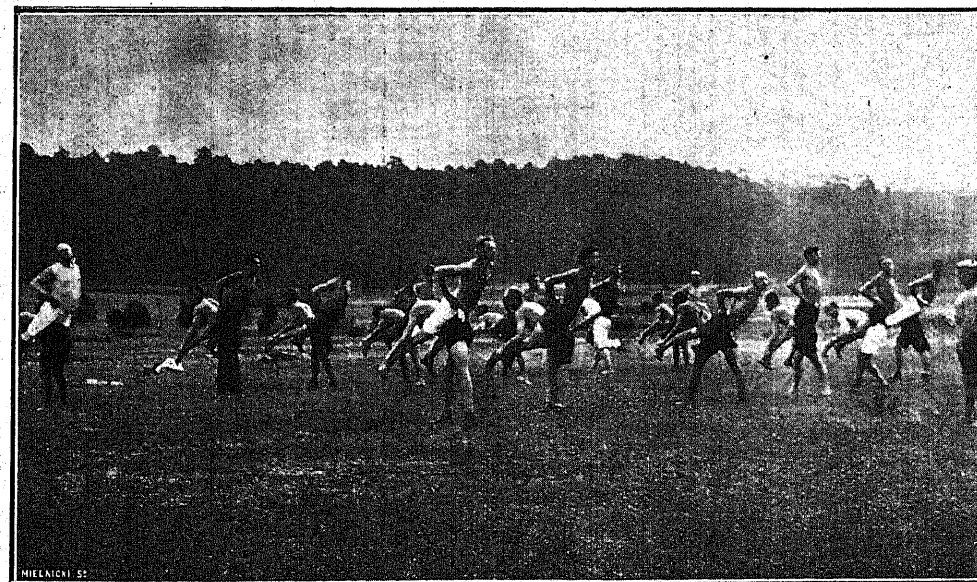
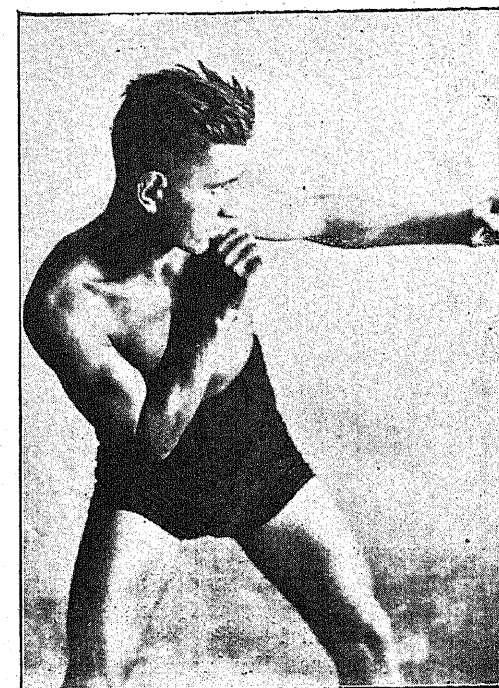
Ralf Koels,

przeplął kanał La Manche, bijąc dotychczasowy rekord światowy. Obok stoi Zuzanna Lengien.

Na prawo

Wende,

znakomity bokser polski znajduje się ostatnio w doskonałej formie dzięki stałym treningom letnim.



Ranna gimnastyka w obozach letnich P. W.

WILHELM SCHUSSEN.

Chorańgiewka.

Gusta nie mogła się przed nim zdradzić, że przez okienko na strychu z lornetką u oczu śledziła go wczoraj, powiedziała tylko:

— Przechodziłeś koło elektrowni, musimy więc iść tą samą drogą, jeżeli chcesz znaleźć łaskę

— Ależ z elektrowni skręciłem na drogę do doliny — kłamał zmieszany

— Przypadkiem z okna widziałam, że skręciłeś dopiero koło mostu.

— Tak daleko nie widać z okna.

— O, ja mam dobre oczy, lepsze niż byś sobie życzył!

Pfeiffle obłudnie się oburzył:

— Jakt!

— Biała postać z żółtym, długim szalem na szyi szła obok ciebie, czy nie?

Pfeiffle roześmiał się sztucznie:

— Żółtym szalem? Czy ci nie słabo przypadkiem?

— Modniarka Thomann naprzykład ma taki żółty szal. Żółty kolor jest nawet właściwy dla takiej.

Pfeiffle wzruszając ramionami:

Panna Thomann jest teraz w Szwajcarii.

— Sam w to nie wierzysz.

— Podobno dziś rano wyjechała.

— Skądże już wiesz o tem?

— Słyszałem.

— Od kogo?

— Od kogo? Od kogo? Zaraz, od kogo?

— Nie udawaj przynajmniej.

— Dlaczego mam udawać. Nie mam najmniejszego powodu po temu

Jak można zgubić łaskę, doprawdy nie rozumiem!

— Pewnie zostawiłeś ją przy szopie.

Pfeiffle przeskoczył przez rów napelniony wodą mówiąc:

— Tu właściwie powinna być kładka. Podał troskliwie rękę żonie, która splonęła rumieńcem wyciągając do niego obie ręce, po chwili jednak cofnęła je:

— Nie, zostaw mnie, sama sobie poradzę. Podniósłszy wysoko spódniczkę próbowała skoczyć, ale zatrzymała się zlekka krzyknawszy. Wówczas on przeciągnął ją przez rów ku sobie.

Jakiś czas szła o kilka przed nim kroków. Miała kark pomarszczony siwe pasma we włosach i kołysała się jak kaczką na biodrach. Przyszedł czas, kiedy pięć lat różnicy jaskrawo rzuciło się w oczy. Matka Gusty sama mu to przepowiedziała

ostrzegając go, ale on wówczas śmiał się i dla wyrównania rachunku zapuścił pełny zarost. Dziś chodzi znowu z twarzą ogoloną. Wypredzając żonę mówił:

— Będę szedł naprzód niewiedomo co może się na drodze przytrafić.

— Właściwie co robiłeś wczoraj przy szopie? — zaczęła Gusta po chwili.

— Co ja robiłem? Zajrzałem do siana i słomy, a później położyłem się i zdrzemałem się trochę.

Roześmiała się tak ostrym i przenikliwym głosem, że stado szpaków z krzykiem zerwało się z dużej okrągłej wierzby, wzniosło się ponad łąkę i naraz w trawę przypadło.

— Zdaje mi się, że... przycisnął wskaźający palec do czoła.

— Toby ci dogadzało. Umieściłbyś mnie w zakładzie, a sambyś się ożenił z takim żółtym szalem.

Wzdrygnęła się, mówiąc dalej:

— Za żadną cenę nigdy w życiu nie nosiłabym żółtego szala!

— A czy ja noszę żółty krawat? odparł zuchwale.

— Zostaw te żarty, proszę cię, zostaw te żarty! zawołała wymachując rękami w powietrzu.

Pfeiffle odezwał się znowu ostro!

— Wolno mi jeszcze być trochę młodym! Jej twarz drgnęła:

— Masz już pięćdziesiątkę.

— To właśnie najlepszy wiek męski, w którym zdrowy mężczyzna zaczyna dopiero żyć naprawdę! — mówił Pfeiffle gorączkowo i prędko idąc naprzód.

— Szkoda, że nie masz przy sobie laski, mógłbyś nią w powietrzu wywijać. Wywija ją pewnie w tej chwili jakiś czeladnik rzemieślniczy po ulicach. Pfeiffe wybuchnął:

— Niech się który ośmieli przemocować w mojej szopie i zostawić mi na pamiątkę jąja swoich wszy i pluskiew.....! Zastrzele, jak psa! Poczekaj; granaty, bomby po zakładam! Wyleć ją w powietrze, co do jednego!

Widząc go tak srodze zgniewanego rzekła:

— Twój rodzony brat też pewnie włóczy się po ulicy, jak każdy bezrobotny.

— Skąd wiesz o tem?

— Codzień przecież czytamy w gazetach że robotnicy budowlani nie mają roboty.

— Toby do domu przyszedł.

— Wypędziłeś go przecie.

— Tylko dlatego, że jako starszy, chciał być zawsze najmądrzejszy i że... za moimi plecami zalecał się do ciebie.

— Przywidziało ci się.

Pfeiffle wzruszył ramionami:

— to nie dowodzi, żebym dziś kiedy jest w biedzie nie przyjął go z powrotem gdyby o to poprosił.

— Tego nigdy nie zrobi.

— W takim razie nic mu pomóc nie mogę.

— Podeszli tymczasem do szemrzącego, wierzbami ocienionego strumyka, za którym stała szopa, ale deski służącej za kładkę nie było.

Pfeiffle rzucił się gniewnie:

— A to co? Nie, to już przechodzi granice...

— Napewno w szopie leży któryś z bezrobotnych — odezwała się pani Gusta.

— Zastrzele gałgana — zgrzytał Pfeiffle między zębami, sięgając do kieszeni po rewolwer — od czego są domy noclegowe? Ale oni nie chcą tam iść, bo muszą parę godzin drzewo piłować, próżniaki bez czci i sumienia! Cudzą pracą tylko się tuczą, w biały dzień wylegają się po cudzych kątach i sięją swoje robactwo! Ale jak temu szelmie wpakuję proch do spodni, mazaższe już będzie wolny od piłowania drzewa!

— Może jest ich kilku?

— Niech będzie kilku! Myślisz że się boję? Poczekajcie, łajdaki!

Odbiegł na kilkadziesiąt kroków od strumienia i niebawem wrócił dzwigając w po cie czoła starą omszoną deskę, którą przrzucał przez wodę.

Drzwi szopy były szczelnie zamknięte, tylko okienko w górze stało otworem.

— Wylażcie, lotry! grzmiał Pfeiffle.

Tymczasem w szopie pogrążony w sianie spał jak zabity stary włóczęga, znany w okolicy pod nazwą miotlarza, ponieważ dawniej handlował miotłami, od pewnego czasu jednak żył wyłącznie z jałmużny.

Wczoraj wieczorem w szynku nieco podpił sobie i zamiast do noclegowego domu poprzez łąki przywłókł się do szopy, a nie mogąc drzwi otworzyć podniósł deskę ze strumyka, która miała na sobie poprzeczki, przystawił ją do szopy jak drabinę, wdrapał się do okienka i wpadł do środka szopy.

Silny ból otrzeźwił go. Podniósł się i przy świetle księżyca, którego promienie przez okienko wpadały do wnętrza szopy ujrzał laskę z rączką z jeleniego rogu, o którą uderzył głową. Obok laski zaś żółty szal damski. Owinąwszy szal wokoło laski, zatknął ją jak chorągiewkę w sianie, a sam ułożył się obok do snu, planując sprzedać nazajutrz laskę, a żółty szal darować kelnerce w szynku, której względami tak dalece się cieszył, że nieraz wśród gości urządzała składkę dla niego na nocleg.

— Wylażcie, łajdaki! wołał Pfeiffle wściekle odsuwając rygiel i otwierając drzwi na roścież.

— Precz, precz!

Z siana wyrosła przed nim wysoka przygarbiona postać.

— Kto? — huknął Pfeiffle, opierając się plecami o wiązadła z desek i podnosząc do góry rewolwer.

Gusta stała tuż przy nim.

— Raz skończyć z tymi próżniakami, darmozjadami, łajdakami! Ty, nicponiu,

poleć swoją duszę Bogu, bo twoja ostatnia godzina nadeszła!

— Ostatnia godzina? Ani myślę! Jeszcze z 10 lat chcę pochodzić po świecie.

— Miotlarz! — zawołała Gusta.

Ale Pfeiffle rzucał się dalej:

— Miotlarz, czy kto inny, wszystko mi jedno. Wymosić mi się w tej chwili, albo kula w łeb hultaju!

— Co, rewolwer? Litości! Nie chcę umierać! Litości! — błagał miotlarz podnosząc swoją chorągiewkę do góry.

— Żółty szal — krzyknęła przerażona Gusta — i twoja laska! Ach, wstyd, hańba, umieram ze wstydu!

— Nie trzeba umierać, wielmożna pani, żyć, żyć, życie jest piękne — zawołał miotlarz.

— We mnie celuj... zabij mnie... słyszysz? histerycznym głosem jęczała pani Gusta — nie przeżyję tego wstydu... nie chcę... strzelaj... słyszysz?

— Czy to pańska laska — panie Pfeiffle? wmieszał się sprytny miotlarz. — W takim razie przepraszam bardzo, że pozwoliłem sobie przywiązać doń damski szal. Ten szal należy do kelnerki z szynku.

— Do kogo należy? spytał Pfeiffle osłupiały ze zdumienia.

— Do kelnerki z szynku pod „Czerwonymi wołami“. Przysięgam! — powtórzył miotlarz, grzmocąc się pięścią w piersi.

— Skradłeś jej wisielce?

— Tak — przyznaję się — odparł pokornie.

— Słyszysz Gusta? — zwrócił się Pfeiffle do żony — ten niepoń ukradł szal kelnerce z „Czerwonych wołów“!

— To go zastrzel, skoro złodziej!

— Litości, ja nie chcę umierać!

— Zastrzel go, mówię ci!

— Dla szalika? Plamić rękę krwią ludzką?

— Sameś przed chwilą mówił, że dla takich hultajów, co się w cudzem sianie wylegają kula w łeb!

— No tak! Ale tu chodzi o starego włóczęgę, miotlarza! I dla głupiego szalika? wykrecał się Pfeiffle.

— W takim razie chodźmy zaraz do kelnerki oddać jej szalik. Ty pójdziesz z rewolwerem za złodziejem ażeby się nam nie wymknął!

— Dla szalika mam się narażać na ludzkie języki. Dziękuję za to i ani myślę!

Ach ty szubieniczniku! I ja przed chwilą chciałem umrzeć dla jakiegoś szalika! Czyś ty wart takiej ofiary! — roześmiała się Gusta na całe gardło.

— Macie rację, miotlarzu — zwróciła się do starego włóczęgi — ani myślę umierać, przeciwnie teraz właśnie pędzić będę życie swobodne i beztrudnie!

I nie spojrzawszy na męża wyszła z chatki z podniesioną głową, szybkim i pewnym krokiem kierując się przez kładkę ku pachnącym i upstrzonym kwieciami łąkom.

Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 12 września 1926 roku.

Nr. 37.

W uznaniu zasług dzielnych druhów topora.



W ubiegłą niedzielę, podczas uroczystości obchodu jubileuszu 50-lecia istnienia Łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej odbyło się na placu St. „Union“ wręczenie odznaczeń zasłużonym członkom straży przy udziale p. wojewody Jaszczolta.